

Ukończyłem Szkołę Junacką

W numerze 4/2000 wydrukowane były moje wspomnienia sybirackie, w których fragmentarycznie wspomniałem, że po zakończeniu kursów przygotowawczych na terenie Palestyny, zostałem zakwalifikowany do Junackiej Mechanicznej Szkoły Zawodowej. Obecnie na życzenie redakcji naszego kwartalnika, szerzej opiszę pobyt w Szkole Junackiej.

Do Szkoły Junackiej, znajdującej się na terenie Egiptu, nie trafiłem bez kłopotów. W tym czasie wyćwieczeni po trudach Syberii, po nagłej zmianie klimatu masowo zapadaliśmy na różne choroby. W obozie panowała czerwonka, na którą ja również zachorowałem. Trzy tygodnie leżałem na izbie chorych. Opieka medyczna była bardzo dobra, a Anglicy mieli bardzo dużo dobrych i skutecznych leków. Po odzyskaniu sił wróciliśmy do kompanii. Pod koniec lipca, wyjechaliśmy do Egiptu, do miejscowości Tel-El-Kebir, gdzie była zlokalizowana I Junacka Mechaniczna Szkoła Zawodowa, do której zostałem skierowany. Cały obiekt znajdował się na pustyni. Rozstawionych było bardzo dużo wielkich wojskowych namiotów, w których nas zakwaterowano. Starannie urządzone i wyposażone, były dla nas prawdziwym komfortem.

Każde łóżko posiadało moskitierę – szczelną zasłonę, która miała chronić śpiącego przed komarami. W tym klimacie było ich dużo i były przyczyną epidemii malarii. Dyżurni mieli obowiązek pilnować by moskitiery były szczelnie zakładane. Drugą plagą były skorpiony, ich ukąszenia również były niebezpieczne, dlatego trzeba było bardzo uważać. W tym kierunku nas uświadomiono i rygorystycznie egzekwowano wszystkie zarządzenia. Wiadomo, że była to troska o nasze bezpieczeństwo i zdrowie, za to im chwała. Na terenie obozu była izba chorych z lekarzem i personelem pielęgniar skim. Osobny namiot to kaplica z kapelanem wojskowym. Była bardzo ładna świetlica z pełnym asortymentem gier świetlicowych, a także z pobliskim obiektem sportowym. Inny namiot to stołówka, gdzie spożywaliśmy wszystkie posiłki oraz wiele obiektów pomocniczych, gospodarczych.

Rozkład dnia Junaka wyglądał następująco: godzina 6⁰⁰ pobudka, gimnastyka, mycie, śniadanie, wycieczka do szkoły na zajęcia teoretyczne – 6 godzin wykładów, następnie godzina przerwy na obiad. Po obiedzie zajęcia w warsztatach do godziny 18⁰⁰. Następnie kolacja i zajęcia własne, odrabianie lekcji, o

godz. 22⁰⁰ apel wieczorny i cisza nocna. Dwa razy w tygodniu wyjeżdżaliśmy do warsztatów angielskiej jednostki wojskowej, gdzie instruktorami byli Anglicy i trzeba było intensywnie uczyć się języka angielskiego. Była to dobra szkoła i szybko nabieraliśmy wprawy w posługiwaniu się tym językiem.

Po tym wszystkim co przeżyłem na Syberii wydawało mi się, że jestem w niebie. Miałem wszystko co potrzebne jest człowiekowi do życia. Doskwierała mi tylko tęsknota za bliskimi – nie wiedziałem co się dzieje z cocią, wujkiem i siostrą, kontakt z nimi urwał się całkowicie. Wychowawcy obiecali, że wkrótce dostaniemy adresy do swych rodzin, ale załatwianie tego trochę potrwa. Zorganizowano placówkę Czerwonego Krzyża, która zbierała wszystkie dane i zajmowała się poszukiwaniem rodzin. Czas płynął bardzo owocnie – trwała intensywna nauka, nadrabialiśmy czas stracony na wygnaniu. W wolnych chwilach spotykaliśmy się z tubylcami Arabami, początkowo porozumiewaliśmy się na migi, ale z czasem i ten język stał się bliższy. Soboty i niedziele były dniami wolnymi od zajęć. Jeśli drużyna nie miała służby to można było jechać na wycieczkę zbiorową lub na przepustkę indywidualnie. Zwiedzaliśmy Kair, który był w pobliżu. Wspomnieć muszę, że otrzymywali-

śmy drobne kieszonkowe na własne wydatki tzw. żold. Część z tych pieniędzy zatrzymywał komendant jako przymusową oszczędność. Co 10 dni dostawałem 500 milsów egipskich, lub pół funta angielskiego. Można było iść do kina, kupić słodycze, owoce lub odłożyć.

Wszystkie obowiązki, które spadały na junaków chłopcy spełniali ochoczo i do nauki podchodzili z pełnym zaangażowaniem. Program nauki prowadzony był w systemie przyspieszonym. Powoli zamazywał się koszmar Syberii, odchodził jak zły sen. Tak minął pierwszy rok. Po wszystkich brakach w dotychczasowym wykształceniu można powiedzieć, że świadectwo miałem bardzo ładne – same dobre i bardzo dobre oceny. Niestety nie było nikogo bliskiego kto by się cieszył z moich osiągnięć. Tylko nocami we śnie przychodziła do mnie moja nieżyjąca mama, gładziła moją głowę, całowała mnie i cieszyła się ze swojego synka. Te sny były dla mnie tak krzepiące, że po przebudzeniu zamykałem oczy i prosiłem by mama ponownie przyszła. Takie sny miałem w tym czasie i to często. Bardzo serdeczny dla mnie był ksiądz kapelan, zachęcił mnie żebym został ministrantem i starał się poświęcać dla mnie więcej czasu, widocznie widział moją rozterkę i samotność. W tym czasie odwiedzała nasz obóz

„Brygada Karpacka” byli w niej krakowscy sportowcy, gracze Wisły jak bramkarz Gierula, skrzydłowy Chabowski i obrońca Kowalski. Zaprosili nas do siebie na mecz, który rozgrywali z Anglikami w miejscowym Casasino. Przyjaźń ta trwała jednak krótko bo brygada dostała rozkaz wyjazdu i opuściła ten teren. Już ich więcej nie spotkałem. Na wakacje połowa obozu wyjechała na wypoczynek do Aleksandrii, a właściwie to do Sidibisz koło Aleksandrii. Teren był rekreacyjny z ładną plażą. Miło płynął czas, tu nauczyłem się dobrze pływać i wypocząłem. Po miesiącu wróciliśmy do obozu i objęliśmy wartę a druga grupa pojechała wypoczywać. Wcześniej jeszcze pod koniec pierwszej klasy zachorowałem na oczy. Na pustyni przy piaskowych wiatrach była to częsta choroba, trzeba było umieć chronić oczy przed piaskiem. Zabrakło mi widocznie doświadczenia w tej dziedzinie i dostałem „egipskiego zapalenia oczu” – tak się nazywała ta choroba. Zabrano mnie do angielskiego szpitala wojskowego. Po dwóch tygodniach powróciłem zdrowy. Skończyły się wakacje, byłem w drugiej klasie. Nauki było dużo ale ja złapałem dobry rytm i nauka nie sprawiała mi żadnych trudności. Dostałem list od cioci. Poszukiwała mnie i dostała do mnie adres przez Czerwony Krzyż.

Dostałem bardzo smutne wiadomości. Po moim wyjeździe z kołchozu wybuchła tam epidemia tyfusu. Ciocia po raz drugi zachorowała, ale jakoś zwalczyła chorobę. Po niej zachorował wujek, który niestety umarł, tak że na stałe pozostał w obcej ziemi. Ciocia z moją siostrą Marysią dostały się do transportu ewakuacyjnego i przyjechały do Teheranu, a stamtąd wysłano je do Indii. Zaczęliśmy na bieżąco utrzymywać ze sobą korespondencję, informowaliśmy się wzajemnie o swoich problemach. Czułem się pewniej, wiedziałem, że jest ktoś kto o mnie myśli, komu mogę napisać o swoich radościach i smutkach. Taka pewność wsparcia daje człowiekowi więcej siły do życia. W drugiej klasie zapisałem się do zespołu tanecznego przy naszej świetlicy. Uczyłem się tańców ludowych: krakowiaka, kujawiaka, mazura i góralskiego. Bardzo mnie to wciągnęło i dużo czasu poświęcałem na próby. Później wyjeżdżaliśmy na występy do różnych jednostek, było bardzo fajnie. Brałem też udział w różnych grach świetlicowych, dobre osiągnięcia miałem w tenisie stołowym, w wolnych chwilach grałem w szachy. Pewnego razu zagrałem z moim profesorem i wygrałem – od tego czasu włączono mnie do drużyny i grałem systematycznie.

Często wizytowali nasz obóz wysocy dostojnicy wojskowi jak gen. Sosnkowski czy gen. Anders, a także dostojnicy angielscy. Była wtedy pełna mobilizacja i gala. Organizowaliśmy dla nich występy artystyczne lub zawody sportowe, aby się jak najlepiej zaprezentować.

Przypominam sobie, także takie zdarzenie, które miało miejsce kiedy byłem w drugiej klasie. Pewnego dnia w przerwie między zajęciami wybiegliśmy z kolegą na pustynię. W piasku natknąłem się na ciężką metalową piłkę, kilka razy kopnąłem ją, ale była za ciężka, więc wziąłem ją do ręki i tak zaniósłem do warsztatu. Gdy wróciliśmy przerwa już się skończyła, więc położyłem znalezioną piłkę na warsztacie. Moje wejście obserwował starszy instruktor, który na widok tego co przyniosłem podobno zbladł ze strachu. Zaraz padła komenda „Wszyscy spokojnie opuścić warsztat”. Okazało się, że przyniosłem niewypał. Odpowiednie służby wyniosły i zdetonowały na pustyni moją „piłkę”. Mnie się wtedy dostało do słuchu, ale od tej pory czułem wielki respekt przed tego rodzaju „piłkami”.

Czas nauki mieliśmy skrócony, rok szkolny zaczął się 1 sierpnia, a 24 stycznia już ukończyłem drugą klasę i zaczęła się zaraz trzecia klasa. Był to rok 1944. W ostatniej klasie było jeszcze więcej nauki, trzeba

było ograniczyć do minimum inne zajęcia. Szkołę mieliśmy zakończyć indywidualnymi egzaminami ze wszystkich przedmiotów i tak też się stało. Oprócz tego były jeszcze egzaminy dodatkowe na tytuł czeladnika danego zawodu.

Muszę powrócić do bardzo ważnego wydarzenia. Otóż 4 sierpnia 1943 obóz obiegła smutna wiadomość, że w katastrofie lotniczej nad Gibraltarem zginął nasz naczelny wódz gen. Władysław Sikorski. W obozie ogłoszono żałobę, przerwano naukę w szkole, flagi spowite kirem opuszczono do połowy masztów, odbyły się apele i nabożeństwa żałobne. Różne wersje krążyły po obozie, ale byłem za młody i nie rozumiałem tej polityki. Tak, że my młodzi chłopcy w krótkim czasie przeszliśmy nad tym do porządku dziennego. Dla nas teraz najważniejsze były egzaminy końcowe jakie nas czekały.

Wszystkie egzaminy zdałem pomyślnie i 14 września 1944 roku otrzymałem świadectwo ukończenia Mechanicznej Szkoły Zawodowej jako specjalista zawodu rusznikarz płatnerz. Natomiast świadectwo czeladnicze opiewa, że zostałem mianowany czeladnikiem rzemiosła ślusarskiego. Tak zakończyła się moja edukacja zawodowa w Szkole Junackiej w Egipcie. Ponieważ nie decydowałem się na dalszą naukę, zostałem przeniesiony do służby wojskowej.